

22.21. Stanisław Olędzki, *Ostatnie ślady folkloru muzycznego.*

MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY „KONTRASTY” nr 2/1978



Unikalną w skali naszego makroregionu ekspozycją otwarto w grudniu ubiegłego roku w Muzeum Okręgowym w Białymstoku. Wystawa polskich instrumentów ludowych ze zbiorów Państwowego Muzeum Etnograficznego w Warszawie, mająca uświetnić podsumowanie Konkursu aktywności kulturalnej środowisk wiejskich, ukazała w atrakcyjnej formule ekspozycyjnej narzędzia dźwiękowe i instrumenty, które jeszcze dzisiaj spotkać można w rękach wiejskich muzykantów.

Niewiele jest w kraju muzeów posiadających stałe ekspozycje instrumentów. Poza Muzeum Instrumentów Muzycznych w Poznaniu oraz Muzeum Ludowych Instrumentów Muzycznych w Szydłowcu, inne placówki muzealne, już niespecjalistyczne, z reguły wystawiają instrumenty ze swych regionów. Wystawę białostocką (jej autorką i komisarzem była Teresa Ambrożewicz, kierownik Działu Folkloru Państwowego Muzeum Etnograficznego w Warszawie, a inspiratorem i mecenasem — Wydział Kultury i Sztuki Urzędu Wojewódzkiego w Białymstoku) uznać należy — pod względem reprezentatywności i wielkości — za drugą w kraju po ekspozycji szydłowieckiej. Tylko że w odróżnieniu od tamtej — stałej, naszej już nie ma. Tym trudniejsze jest moje zadanie opisanie instrumentów i ekspozycji, choć Tomasz Mann w siódmym rozdziale „Doktora Faustusa” zostawił wspaniały wzór opisanie magazynu Mikołaja Leverkühna, a i polska literatura zawiera kilka opisów, na czele z najobszerniejszym „Opisaniem muzyki Imci Panu Stefanowi Przypkowskiemu na weselu Yego w upominku dane”, które odnaleziono w Bibliotece Kórnickiej w rękopisie zatytułowanym „Silva Rerum” z 1697 r. Pisząc te słowa tuż po śmierci pana na Jędrzejowie, twórcy i kustosa Muzeum Zegarów Słonecznych, trudno nie przytoczyć fragmentu Muzyki IX, gdzie autor, wymieniwszy wszystkie instrumenty profesjonalne, wspomina na koniec i o ludowych:

*Niech tu i gaydy wasze nie próżnują
Dudy i Kozły grając wyskakują
Weselem domy wasze napelnijcie
Gdy Panią swoją przy Panu ujrzyście
A jeśli się kto na te nie zdobędzie
Prostej muzyki niech z Drumlą usiedzie
I tę wesolą myśl sobie uczyni
Y na grzebieniu grając nie przewini...*

Aczkolwiek grzebienia na białostockiej ekspozycji instrumentów nie było, to dudy, kozły i gajdy, będące — obok skrzypiec — najpopularniejszymi i najbardziej polskimi instrumentami ludowymi, występującymi jeszcze dzisiaj w ośmiu odmianach, stanowiły na pewno najatrakcyjniejszy fragment tej wystawy.

Dudy znano w Polsce już w czasach Mieszka I, można więc rzec, iż są rówieśnikiem państwa polskiego. Atrakcyjne były zresztą zawsze; w XVI stuleciu właściciel wsi. płacił od

każdego dudziarza podatki w takiej samej wysokości, jak od młyna wodnego. Mikołaj Rej pisze, że na dudach również i szlachta „*grawała*”, co zresztą poczytuje jej za objaw złego gustu. Nie wiedział chyba, że kapela królewska, zwana litewską, rezydująca wówczas w Grodnie, składała się właśnie z dudziarzy i koźlarzy. Miejszem zarobkowania wiejskich dudziarzy były karczmy. Jakub Kazimierz Haur pisał w 1693 r.: „*Karczmarz ma mieć muzykę zwyczajną, Dudę i Skrzypka [...] albowiem szynk bez muzyki, Woz bez smarowidła, Taniec bez dziewczki za nic nie stoi*”.

Sztuka budowy i gry na tych instrumentach najżywsza jest w Wielkopolsce; tam też przetrwało najwięcej wariantów: dudy gostyńskie, kościańskie, kozły białe i czarne, sierieńki. Najwspanialsze są kozły białe, będące — nie bez przyczyny — przedmiotem dumy, wręcz kultu swych posiadaczy, nie mniejszego od tego, jakim właściciele stradivariusów darzą swe najdroższe na świecie instrumenty. Kozioł, zwany nieraz kozą lub błędnie — kobzą (kobza to instrument strunowy, podobny do lutni), wymaga od budowniczego wielu umiejętności i dużego nakładu pracy; dość rzec, iż zbudowany jest z dwudziestu rodzajów materiału i składa się z ponad czterdziestu niezbędnych części. Wór-zbiornik, pokryty śnieżnobiałym włosem, i czerwona opaska, okalająca szyjkę koziołka, to — według słów koźlarzy — oznaka polskiego rodowodu instrumentu.

Najbardziej polskie są jednak skrzypce. Białostocka wystawa przedstawiła najrozmaitsze ich odmiany i formy, od dłubanych mazanek z archaicznym typem podstawka, po warianty ukształtowane pod wpływem wzorów profesjonalnych, klasycznych. Zapewne nie wszyscy znają — rewelacyjną dla nas, Polaków — hipotezę, upatrującą na polskich ziemiach miejsca narodzin skrzypiec. Dzisiejsze mazanki są reliktem średniowiecznych gęśli, o których czytamy już w „Biblii szarospatackiej”. Dokładnie odczytane i zinterpretowane historycznie opisy „polskich skrzypie” Agricoli (1545) i Praetoriusa (1618), teoretyków niemieckich, mówią o najistotniejszych elementach klasycznej formy skrzypiec. Gdy jeszcze dodamy, iż zmarły w 1602 r. w Krakowie Mateusz Dobrucki (ur. w 1520 r.) zostawił w spadku wielki warsztat lutniczy, naówczas prawdziwą fabrykę skrzypiec (nie mógł więc być pierwszym polskim lutnikiem) — niemal z pewnością będziemy mogli przyjąć, iż skrzypce w swej dzisiejszej, klasycznej formie ukształtowały się w latach 1500—1530 właśnie w Polsce. Są jeszcze inne dowody potwierdzające tę hipotezę, wciąż u nas mało znaną, a za granicą już popularną. Piszę o niej i dlatego, że mija okrągłe ćwierćwiecze od jej opublikowania przez Zdzisława Szulca, który był twórcą pierwszego w Polsce muzeum instrumentów. Nobilituje ona eksponowane w Białymstoku niepozorne relikty protoplastów wspaniałych stradivariusów, guarnerich, amatic, ale i polskich grobliczów, dankwartów, rudertów, baczyńskich czy sawickich.

Nie mniej popularnym w Polsce instrumentem ludowym są basy, niezbędne w wielu kapelach. Jedną z ciekawszych ich odmian, marynę, mogliśmy obejrzeć dzięki uprzejmości prof. Jadwigi Sobieskiej, która udostępniła kilka eksponatów z własnej, a właściwie małżeńskiej kolekcji. I ponownie rocznica, tym razem smutna: dziesiąta rocznica przedwczesnej śmierci doc. Mariana Sobieskiego. Małżeństwo to, działając wspólnie przez kilkadziesiąt lat w jednej dziedzinie, niesłychanie wiele uczyniło dla sprawy polskiej ludowej kultury muzycznej; najbardziej zasłużyło się dla polskiej etnomuzykologii wnosząc do niej wkład największy po Kolbergu: zbiory nagrań, dziesiątki tysięcy pieśni i melodii instrumentalnych, osiągnięcia administracyjne i inspiracyjne (pierwsze festiwale folklorystyczne), prace naukowe, a gdzieś na marginesie — instrumenty, przekazywane zresztą muzeum (szydlowieckie — to dziecko Jadwigi Sobieskiej). Zostało ich sporo. W mieszkaniu pani profesor znajduje się jeszcze jedno małe muzeum polskich instrumentów ludowych, obrazujące zarazem szlak wspólnych badań.

Na białostockiej wystawie nie zabrakło instrumentów wymierających, ostatnich śladów życia folkloru muzycznego *in crudo*. Widzieliśmy piszczałki i trąbki z kory wierzbowej,

jarmarczne fujarki i „całą armię trąb” — jak napisałby Mann, tyle że drewnianych; a więc były tam bazuny, ligawki i najdłuższe, trzymetrowe trombity. Kołatki, terkotki, diabelskie skrzypce i burczybas, nie najstarsze w całej kolekcji, mogły wywołać wrażenie, iż urbanizacja, industrializacja, standaryzacja, unifikacja i inne „acje” są na razie słabsze od żywotności folkloru. W rzeczywistości jednak instrument ludowy zastępuje się coraz częściej (od wielu już lat) profesjonalnym, i żadne poczynania reanimacyjne nie powstrzymają naturalnego biegu przemian kulturowych. Sam fakt, że spotkaliśmy się w muzeum — ma swoją wymowę.

Wystawę polskich instrumentów ludowych uatrakcyjniły i uzupełniły stroje i tkaniny regionalne oraz fotogramy przedstawiające muzykantów w trakcie gry.

Wieś gminna niesie, iż szef sobolewskiej małej poligrafii zobowiązał się (i, być może, tym razem obietnicy dotrzyma) ukończyć druk katalogu tej wystawy na jej zamknięcie. W związku z tym będzie ono uroczyste.

Stanisław Olędzki